KRYSTYNA PŁATAKIS-RYSAK

ur. 1924; Lublin

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	okupacja niemiecka, życie codzienne, żywność, braki żywności w czasie okupacji, chleb

Okupacyjna codzienność

Po tych kocich łbach ta drynda skakała, dojechaliśmy na ulicę Wyspiańskiego, skończyły się kocie łby i polna droga – bez żadnej nawierzchni. Jak było ciepło, to unosił się kurz, jak padał deszcz, to buty grzęzły w tym błocie, bo tam gleba lessowa – taka glinka lepka, i jeżeli tam było dosyć mokro, to można było buty stracić. Podjechaliśmy pod ten domek, a jak przyjechali rodzice, trzeba było zastanowić się nad tym, co dalej. Jak będziemy żyć? No, dziadek miał ogród, w tej chwili z tego ogrodu i sadu zrobili trzy parcele i trzy domy tam stoją, zostały tam wybudowane, a przedtem to był spory sad i ogród. To był róg ulicy Wyspiańskiego i Moniuszki. I wtedy trzeba było zrobić naradę rodzinną. Jak będzie wyglądało nasze życie? Jak je zorganizujemy? Pierwsza kalkulacja – co nam się bardziej opłaca jeść na śniadanie? Czy suchy chleb z mlekiem czy chleb posmarowany marmoladą, którą można było kupić w sklepie, ale ta marmolada była chyba z buraków i suszonych owoców, takich podwędzonych, trochę przypalonych, śliwek. Czy będziemy pić herbatę z suszonych skórek jabłek z sacharyną, którą można było kupić? Bo cukru nie było. Tak że głosowanie było przeprowadzone, wolimy mleko z suchym chlebem. Ale z tym chlebem też nie było łatwo, dlatego że w piekarni zabrakło mąki, sklep został zamknięty. Usłyszeliśmy wiadomość: „W Głusku piekarnia piecze chleb i można ten chleb kupić". Bez ograniczeń. Nie na kartki, bo Niemcy wprowadzili kartki. No wobec tego, ale to była już zima, plecak na plecy, ja, mój brat i jeszcze chyba ktoś z rodziny, chodziliśmy do Głuska. Buty to miałam tylko takie półbuty, które bardzo szybko nasiąkały wodą, i miałam dres. Bo przecież myśmy przyjechali do Lublina z neseserkami. I do Głuska. Oczywiście odśnieżania przed nami nie było, trzeba było jeden po drugim, po krokach, jeden za drugim wchodził w te dziury wydeptane, do Głuska na piechotę. Tam kupiliśmy tyle bochenków chleba ile się udało, do plecaka i z powrotem do Lublina. Ten chleb był bardzo smaczny, to był chleb sitkowy. Oczywiście nie było go czym posmarować. Był olej i była cebula. Wobec tego smażyliśmy tą cebulę na oleju i do tego chleba. To było fantastyczne jedzenie. To

było naprawdę bardzo smaczne.
Jak spędzałam wtedy czas? Między innymi tak jak powiedziałam, to znaczy na szukaniu pożywienia. Któregoś dnia razem z matką poszłam na ulicę Świętochowskiego. Ulicę Zemborzycką przekraczałyśmy w momencie, kiedy ona tonęła w błocie. Moja matka miała na sobie buty narciarskie i ten but jej się zsunął z nogi, musiała oczywiście bosą nogą stanąć w tym błocie, żeby ten but wyciągnąć. Ja już nie pamiętam, czy ten but włożyła na nogę jak przekroczyła to błoto... chyba tak, bo chyba do środka się jeszcze nie nalało. Na ulicy Zemborzyckiej była jatka żydowska, o której również pisała pani Danczowska. Ona w tej książeczce, w której opisała historię tej dzielnicy, właśnie pisała, że na ulicy Świętochowskiego była, a może nie mówiła nawet o ulicy, tylko że była jedyna w tej dzielnicy żydowska jatka. Sklepik w drewnianym domku, szyld – rzeźnik. Wchodzimy. Za ladą stoi Żyd w jarmułce, w fartuchu, z pejsami, i na ladzie, na tacy leży kość wołowa. I ten Żyd tak zachwala tą kość: „Szanowna pani, nigdzie pani takiej dobrej kości nie dostanie, na tym będzie wspaniała zupa". Oczywiście nic nie było, tośmy tę kość kupiły. To była tak zwana kość szpikowa. Tak że na tej kości rzeczywiście była zupa, bo tam u dziadka jakieś jarzynki były. Ale jeszcze przed przyjazdem moich rodziców, pojechałam z moja babcią dorożką do centrum, do syndykatu rolniczego. Co to było ten syndykat rolniczy? To był taki sklep, tak zaopatrzony jak później te spółdzielnie rolnicze. Taka spółdzielnia była chyba na Wolskiej swego czasu. Narzędzia, węgiel, produkty spożywcze, garnki, łyżki, miski, naczynia, więc ponieważ myśmy przyjechały bez niczego, to babcia zrobiła tam zamówienie, bo oni zakupiony towar przywozili do domu. Zamówiłyśmy węgiel, ziemniaki, następnie kupiłyśmy garnki, naczynia, miski, łyżki i trochę produktów jakichś – kaszy, mąki, to co można było kupić. Na początek to jeszcze trochę cukru, i to nam przywieźli. No, to nas uratowało, bo nie mieliśmy nic, a trzeba było gotować, prawda, trzeba było jakoś żyć.

Data i miejsce nagrania	2004-04-02, Lublin
Rozmawiał/a	Monika Pytlarz, Dominika Jakubiak
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"